

Deggendorf, trzydziestotysięczne miasto w Dolnej Bawarii, położone nad Dunajem. Strzeliste wieże dwóch katolickich kościołów, otoczone kilkupietrową zabudową, przypominają habaneryk stojących u bram: patrzących z jednej strony na urodzajną nizinę

towarzystwa. Ona sama żyła ciągle pracą, sprawami rodziny, problemami znajomych i innych ludzi, choć miała też czas na poznawanie świata.

Dzisiaj patrzę na nią z perspektywy czasu. Postrzegam jednak jako osobę osamotnioną, mimo że nigdy nie

conych dziesięcioleci nie da się odrobić w tydzień, a ukształtowane już charaktery dorosłych mężczyzn niełatwo poddają się korekcie.

I wreszcie po ciężkiej chorobie odeszła z tego świata ta niepozornie wyglądająca kobieta, która jako je-

Ci sami, lecz nie tacy sami

bawarską, rozciągającą się za szeroką wstęgą Dunaju, z drugiej zaś na malownicze wzgórza bawarskiego lasu.

Gdy przyjechałem tu po raz pierwszy, był początek lat osiemdziesiątych. Poznałem ludzi pełnych energii, cieszących się swoją pracą, mających krąg znajomych, z którymi spędzali sobotnie wieczory. Wówczas widziałem ich roześmianych, pogodnych, lubiących wspólny śpiew. Była wśród nich pewna kobieta: drobna, zawsze uśmiechnięta, o kruczoczarnych włosach. Pamiętam, jak pewnego słonecznego poranka wybiegła z domu, bo myjąc okna sypialni, zauważyła ubogą matkę z dwójką dzieci. Wybiegła, by wręczyć im jakiś pakunek. Innym razem widziałem, jak rozmawiała z synami, jak próbowała otworzyć ich na innych. Nie da się zapomnieć ich uczniowskich żali: *mamo, ale przecież to ja jestem twoim synem*, gdy widzieli, jak ona najpierw pomaga innym. Już w tamtych latach, gdy w Europie Zachodniej gry telewizyjne czy filmy video miały wśród młodzieży coraz większą rzeszę swoich wielbicieli, dostrzegała problemy młodych Niemców z koncentracją nad rozwiązywaniem szkolnych zadań. Zwracała też uwagę na coraz mniejsze zaangażowanie niemieckich, młodych kobiet w życie rodzinne. Widziałem ją tak, jak moją mamę, zapracowaną od świtu do późnych godzin wieczornych, szukającą chwil dla każdego. Dzisiaj określa się to jako bycie pod nieustanną presją czasu. Mogłem dostrzec, jak wielu potrzebowało jej

była sama. Zawsze jednak była osamotniona w swych działaniach. Żyła przykładnym życiem ewangeliczki – chrześcijanki, ale zabrakło jej wsparcia ze strony wiecznie zapracowanego męża i zrozumienia u znajomych. Bliscy myśleli o niej tak, jak to się najczęściej zdarza: jest i będzie zawsze. Cieszyli się jej obecnością, ale na wiele spraw byli głusi i ślepi.

Trudno jest wymazać z pamięci jej apel do męża: *przecież on jest twoim dzieckiem*, gdy ona będąc już poważnie chora, próbowała ratować syna przed samobójczą śmiercią i walczyła, by wrócił do rodziny, a mąż wybaczył mu jego przewinienia. To była jakby wspólna ewangeliczna historia o synu marnotrawnym. Jednakże jej epilog różnił się od pierwowzoru, gdyż nie było w nim porozumienia ojca z synem. Przy czyn takiego stanu rzeczy można znaleźć wiele, ale główna wynikała z braku czasu dla syna, nieumiejętności nawiązania z nim kontaktu i niezrozumienia wzajemnych potrzeb. Więc ojcowsko-synowską buduje się latami. Utra-

dyna Niemka z wycieczki wybrała kiedyś cmentarz żołnierzy polskich pod Monte Cassino, aby na ich grobach złożyć kwiaty, a wobec sowieckich żołnierzy nie czuła niechęci, choć wyrzucili ją i jej rodzinę z Sudetów.

Odeszła, a ja przyjechałem do Deggendorfu, by zapalić świeczkę na jej grobie i pomodlić się za nią podczas Mszy św. w pobliskim kościele. Co zastałem w tej pięknie położonej miejscowości? Nie spotkałem już tamtych zapracowanych, roześmianych, pełnych energii ludzi. Zobaczyłem natomiast emerytowanego prawnika z problemami alkoholowymi, który przed wielu laty rozwiódł się z piękną kobietą, zоста-



foto: Krzysztof Kowalski